

Gdy Mateusz zadzwonił na obiad, wszyscy chłopcy pobiegli do jadalni, gdzie Alfred i drugi Antoni krzatali się już dookoła stołu, ja zaś udałem się do kuchni.

Muszę koniecznie opisać jej wygląd i urządzenia, które zaprowadził tam pan Kleks. Wzdłuż jednej ściany stały na długich stołach blaszane puszki, wypełnione szkiełkami przeróżnych barw i odcieni. Po przeciwległej stronie umieszczone były naczynia z jadalnymi farbami oraz ogromny zbiór najdziwniejszych pędzli i pędzelków. Na oknach stały drewniane skrzynki z jaskrawymi kwiatami, wśród których przeważały nasturcje i pelargonie. Pośrodku kuchni wznosił się wielki stół z metalowym blatem. Stał na nim pękaty szklany stół, napełniony płomykami świec, oraz mnóstwo małych stoików z kolorowym proszkiem.

Przystępując do gotowania obiadu pan Kleks włożył biały kitel i zabrał się do przyrządzania potraw. Do ogromnego rondla wrzucił trzy kwarty pomarańczowych szkiełek, dosypał garstkę białego proszku, dolał wody, cienkim pędzelkiem wymalował na powierzchni zielone grochy, po czym na zakończenie dorzucił kilka płomyków świec, od których woda w rondlu natychmiast zawrzała. Wówczas pan Kleks wymieszał dokładnie całą zawartość rondla, przelał ją do wazy i rzekł do mnie:

- Zanieś tę wazę Alfredowi do jadalni. Myślę, że zupa pomidorowa będzie dzisiaj doskonała.

Rzeczywiście, muszę przyznać, że jeszcze nigdy w życiu nie jadłem nic równie smacznego, a przecież ugotowanie zupy nie trwało nawet pięciu minut.

Podczas gdy chłopcy jedli pierwsze danie, pan Kleks zabrał się do przyrządzania pieczystego. W tym celu włożył do dużej brytfanny jeden płomyk świecy, położył na nim małe kawałeczki mięsa, wrzucił dwa szkiełka: jedno czerwone i jedno białe, wszystko to posypał szarym proszkiem, a gdy mięso już się upiekło i szkiełka rozgotowały się, przyłożył do brytfanny powiększającą pompkę i kilkakrotnie nacisnął jej denko. Brytfanna natychmiast wypełniła się po brzegi apetyczną i wonną pieczenią wołową, obłożoną buraczkami i tłuczonymi kartoflami. Na kartoflach wymalował pan Kleks zielony koperek. Pieczeń ta z trudnością zmieściła się na półmiskach, które zaniostem do jadalni. Na deser pan Kleks postanowił przyrządzić kompot z agrestu. Obciął kilka listków pelargonii, posypał je proszkiem agrestowym i skosztował.

– Nie smakuje mi! – rzekł sam do siebie. – Lepszy będzie kompot z malin.

Nie zastanawiając się długo, pochwycił gruby pędzel, zanurzył go w czerwonej farbie i kompot agrestowy przemalował na kompot malinowy. Był tak znakomity, że próbowałem go trzykrotnie, a byłbym chętnie zjadł jeszcze więcej. Mogłem sobie na to pozwolić, gdyż po przyrządzeniu kompotu, co trwało jedną chwilę, pan Kleks udał się do jadalni z polewaczką, ażeby pieczeń polać brązowym sosem, wzmacniającym mięso.

Gdy po obiedzie chłopcy wzięli się do robienia porządków oraz do innych zajęć gospodarskich, pan Kleks wrócił do kuchni i rzekł do mnie:

– No, Adasiu, teraz pora na nas, pewno jesteś już bardzo głodny. Powiedz, co chciałbyś zjeść na obiad? Możesz sobie wybrać każdą potrawę, na jaką masz apetyt.

Z natury jestem bardzo łakomy, toteż propozycja pana Kleksa poruszyła mnie ogromnie. Długo zastanawiałem się nad tym, na co mam właściwie apetyt, i wreszcie wybrałem sobie omlet ze szpinakiem. Pan Kleks natychmiast porwał w dłoń pędzel, umaczał go w rozmaitych farbach i łącząc je w odpowiedni sposób, namalował omlet, potem szpinak, wrzucił do środka płomyk świecy, po czym zręcznie wyłożył wszystko na talerz, mówiąc:

– Myślę, że mój omlet będzie ci smakował; powinien być wyśmienity. Omlet był rzeczywiście wyborny i wprost rozpyływał się w ustach. W podobny sposób przyrządził dla mnie pan Kleks kurczaka z mizerią i pierogi z jagodami.

W odpowiedzi na moje pytanie pan Kleks wyjął z kieszonki pudełeczko z pigułkami na porost włosów, połknął pięć takich pigułek jedną po drugiej i rzekł:

- To mi zupełnie wystarczy. Natomiast dla smaku zjem sobie moją ulubioną kolorową potrawę.

Mówiąc to, zerwał kwiatek nasturcji, zanurzył go naprzód w zielonej farbie, potem w niebieskiej, potem w srebrnej, wreszcie zjadł go z ogromnym smakiem.

- Muszę ci to wytłumaczyć – powiedział pan Kleks widząc moje zdziwienie.

- Przed wielu, wielu laty przebywałem w Pekinie, stolicy Chin, i zaprzyjaźniłem się tam z pewnym chińskim uczonym, doktorem Paj-Chi-Wo. Nazwisko to na pewno już nieraz obito ci się o uszy. Otóż wspomniany doktor Paj-Chi-Wo nauczył mnie wyrabiać jadalne farby, które stanowią esencję rozmaitych smaków. Niebieska farba jest kwaśna, zielona jest słodka, czerwona jest gorzka, żółta jest słona, natomiast z różnych połączeń farb powstają smaki pośrednie. Tak więc odpowiednie połączenie farby zielonej z białą i z odrobiną szarej daje smak waniliowy, brązowa z żółtą posiada smak czekoladowy, farba srebrna, domieszana do czarnej i z lekka zakropiona seledynową, smakuje jak ananas. I tak dalej, i tak dalej.